Nr. 7. Lwów w lipcu 1898. Rok XXI.



Prenumerata roczna: 5 zł., 10 mr., 5 rs., 12 lr.

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

Wychodzi z początkiem każdego miesiąca.

DRUGI ZJAZD ŁOWIECKI.

Liczne grono miłośników łowiectwa czyniąc zadość zaproszeniu Wydziału gal. Towarzystwa łowieckiego, zebrało się dnia 1. lipca b. r. w sali dyrekcyi domen i lasów, aby wspólnie obradować nad sprawami gorąco ich wszystkich obchodzącemi, aby zadzierżgnąć między sobą węzeł znajomości, aby się skupić razem i wspólnemi siły pracować dalej nad podniesieniem w naszym kraju gospodarki łowieckiej, dołożyć starań, aby oprócz niw „pozłacanych pszenicą, posrebrzanych żytem", także i bory nasze i knieje w nich zaroiły się zwierzyną, pomnożyły bogactwo kraju, a dzielnym naszym myśliwym dawały ciągle sposobność do szlachetnej, rycerskiej rozrywki, do wprawienia ręki i oka.

Zebrało się liczne grono, napisaliśmy powyżej, liczniejsze, niż w roku zeszłym, ale nie tak liczne, jak być powinno. Zjazd łowiecki w naszym kraju powinien ściągać nie dziesiątki, lecz co najmniej setki łowców. Spójrzmy za granicę, do Czech lub Niemiec. Tam każdy zjazd strzelecki ściąga tysiące ludzi, bo tam już poznano, jak wielka potęga leży w organizacyi, ile pożytku przynosi wzajemna wymiana zdań, wzajemne porozumienie się, ile korzyści wspólna praca. Lecz prawda, u nas dopiero początek zjazdów, w tym roku dopiero drugi z rzędu, tam odbywają się one już od lat szeregu. Da Bóg i u nas członków zjazdu będziemy liczyli nie dziesiątki, lecz setki i tysiące. Uznanie potrzeby zjazdów takich coraz szersze zatacza kręgi i już w tym roku mielibyśmy byli na zjeździe nie 80 obecnych, lecz z górą setkę, gdyby nie czerwcowa burza, która w całym kraju wyrządziwszy ogromne szkody, wielu gospodarzy i łowców zniewoliła do pozostania w domu, aby choć w części uratować to, czego wicher lub grad do szczętu nie zniszczył. W roku przyszłym na

trzecim zjeździe zbierzemy się w kole liczniejszem. — Do widzenia!

* * *

Obrady zjazdu, które rozpoczęły się o godzinie 11. rano, zagaił członek wydziału galicyjskiego Towarzystwa hr. Stefan Szembek. Prezes Towarzystwa, hr. Roman Potocki, z powodu chwilowej przeszkody nie przybył, wiceprezes zaś p. ordynat Czarkowski-Golejewski, przykuty chorobą do łoża, przybyć niestety nie mógł. — Hr. Szembek powitawszy serdecznemi słowy zgromadzonych, zaproponował, aby na przewodniczącego zebrania wybrano hr. Stefana Zamoyskiego. Propozycyę tę przyjęto przez aklamacyę.

Hr. Zamoyski zająwszy miejsce przewodniczącego, podziękował w krótkich słowach za wybór, poczem zazaznaczył, iż pierwszym punktem porządku dziennego jest referat dra Aleksandra Małaczyńskiego: „O brakach nowej ustawy łowieckiej“. Mowca więc wezwał zebranych, aby w dyskusyi, która wywiąże się nad tym referatem, zechcieli wziąć udział, wskazali również rozmaite braki nowej ustawy, zaproponowali poprawki, a wydział Towarzystwa łowieckiego oparty na tem, zwróci się do Sejmu z prośbą, aby ustawę tę uzupełnił, czy to w formie noweli, czy też w formie poprawki.

Z kolei zabrał głos dr. Aleksander Małaczyński, referent komisyi wydziału Tow. łowieckiego, wybranej dla sprawy ustawy łowieckiej i przedłożył swój referat, który brzmi, jak następuje:

Z końcem marca b. r. weszła w życie nowa ustawa łowiecka dla Galicyi i WKs. Krakowskiego. Zaraz po jej uchwaleniu przez Sejm krajowy podnosiły się w kraju liczne głosy przeciw postanowieniom jej — a od chwili, kiedy ustawa otrzymała najwyższą sankcyę, skargi te wzmogły się jeszcze bardziej. Stała się więc rzecz niebywała, że zanim jeszcze ustawę opublikowano, już ogół myśliwych uznał ją za nieodpowiednią i domagał się zmiany jej postanowień.

Niechętnie i bardzo niechętnie uległem prośbom członków Komisyi Towarzystwa łowieckiego, ażeby w tej sprawie objąć referat na II. Zjeździe łowieckim.

Powodem ociągania się z mojej strony była obok braku czasu ta okoliczność, iż ceniąc wysoko nasze ustawodawcze ciało krajowe, nie chciałem poddawać krytyce ustawy przezeń uchwalonej. Wytłómaczono mi jednak, że skoro chodzi o błędy lub usterki, które zgubnie odbić się mogą na gospodarstwie łowieckiem całego kraju, nie godzi się taić z zarzutami, lecz należy, ile możności jak najrychlej, odsłonić ujemne strony ustawy, ażeby w czas jeszcze wywołać pożądaną reformę.

Uległszy tym argumentom za inicyatywą gal. Towarzystwa łowieckiego przestudyowaliśmy ustawę i rozporządzenia wykonawcze i zszeregowaliśmy zarzuty, jakie dotychczas w pismach lub na zebraniach podniesiono. Zarzuty te przedyskutowaliśmy wspólnie w Komisyi gal. Towarzystwa łowieckiego, a rezultat naszych narad przedstawiamy Szan. Zgromadzeniu do jego rozwagi.

U wstępu jednak zaznaczyć musimy, że referat nasz nie będzie tak szczegółowy i obszerny, jakby to zdawać się mogło po jednorazowem przeczytaniu ustawy; wynika to ztąd: 1) że bardzo liczne zarzuty, podniesione przeciw ustawie, okazały się po dojrzałej rozwadze nieuzasadnionymi; 2) że ustawa nowa we wielu szczegółach jest jaśniejszą i lepszą od dawnej i 3) że ocenianie doniosłości niektórych jej nowych postanowień już dzisiaj, byłoby przedwczesne, póki praktyka nie da sama ilustracyi ich użyteczności lub szkodliwości.

Praktyka wykaże zresztą niewątpliwie jeszcze inne nowe niedomagania, których na razie dostrzedz niepodobna. Z tego więc powodu ograniczamy się jedynie do tych postanowień ustawy, o których z wszelką pewnością już dziś orzec można, że celowi nie odpowiadają, że ze stanowiska gospodarstwa łowieckiego są szkodliwe, lub że niesprawiedliwie wpływają na prawa pewnych osób uprawnionych do polowania.

Jeżeli więc panowie nie spotkacie w referacie naszym zarzutów, które może każdemu z osobna się nasunęły, tłómaczymy to *a priori* okolicznością, że znaczna ilość postanowień nowej ustawy łowieckiej, wyglądających na pierwszy rzut oka na nieuzasadnione lub niewłaściwe — nie jest tak złą, jeżeli tylko organa wykonawcze zechcą zrozumieć instrukcyę ustawodawcy i w wykonaniu postanowień tych nie spaczą...

Najliczniejsze zarzuty, jakie podniesiono przeciw nowej ustawie, dotyczą czasu ochrony zwierzyny łownej.

Z niewytłómaczonych powodów ustawa ograniczyła czas polowania na jelenie do trzech miesięcy, t. j. do sierpnia, września i października. Jestto istotnie protekcya bardzo daleko idąca. Stan jeleni w naszym kraju nietylko w ostatnich latach się nie zmniejszył, ale przeciwnie wyrósł bardzo znacznie — wobec czego rozszerzenie czasu ochrony poza granice dotąd praktykowane, jest samo w sobie nieuzasadnione.

Obok tego wypada podnieść, że w czasie, kiedy według nowej ustawy na jelenie polować wolno, są one na rykowiskach w górach — podczas, gdy przez resztę roku przebywają w okolicach podgórskich. Tak więc monopol polowania na jelenie oddaje ustawa kilku nielicznym właścicielom, względnie dzierżawcom kniei górskich— odbierając prawo polowania na jelenie właścicielom majątków podgórskich, gdzie jelenie te przez rok cały się żywią i chowają!

Wobec tego domagają się wszyscy zmiany czasu ochrony tak, iżby na jelenie przynajmniej od 1. lipca do 1. grudnia polować było wolno.

Wprost przeciwne żądanie postawilibyśmy co do czasu ochrony ptactwa wodnego. Ustawa pozwala je strzelać już od 15. czerwca. W tym czasie nie ma mowy jeszcze o strzelaniu podlotów—więc mniej sumienni myśliwi mają możność ubijania starek w czasie, kiedy młódki potrzebują jeszcze ich opieki. — Jestto barbarzyństwo, któremu zapobiedz można tylko przez przedłużenie czasu ochrony ptactwa wodnego do 1. lipca.

Mówiąc już o czasie ochrony zwierzyny łownej, musimy na tem miejscu wspomnieć z żalem, iż ustawa pominęła w §. 33 (o czasie ochrony) bardzo znaczny zastęp zwierzyny, którą sama uznała w §. 2. za łowną.

I tak nie znalazły ochrony ze strony ustawy: borsuk, chruściel, czajka, kurki wodne, dziki łabędź i słonka! Mógłby ktoś zarzucić, iż ustawa chroni w ogóle ptactwo wodne i błotne, więc tem samem i ptaki dopieroco wyliczone. Niestety jednak ustawa w §. 33 określa przez wyliczenie te ptaki, które za wodne, względnie błotne uważać należy i którym ochrony użycza — między wyliczonymi nie ma jednak ani czajki, ani chruściela, ani kurki wodnej, ani wreszcie łabędzia. Największy żal mamy jednak do ustawy za pominięcie słonki, która przecież i w naszym

kraju się gnieździ! Za rozkosz myśliwską, jaką daje nam polowanie na tego ptaka, powinien on doznać przecież tej samej opieki, jaką zabezpiecza ustawa dla krzyka lub kuropatwy!

Przechodząc do §. 46, który zawiera postanowienia o tępieniu szkodników, nie znajdujemy między nimi wrony, a więc szkodnika, który co najmniej takim samym jest rabusiem, jak kruk, sroka i gawron.

W tym samym paragrafie znajdujemy postanowienie, iż zwierzęta szkodliwe (niedźwiedzie, wilki, rysie etc.) każdy może zabijać, nie wolno jednak bez zezwolenia uprawnionego do polowania na cudzym gruncie zwierząt szkodliwych śledzić. Powstaje tedy wątpliwość, gdzie te zwierzęta zabijać wolno. Z zestawienia ustępu 1. z ustępem 2. tegoż paragrafu wypływałoby, że wolno je zabijać każdemu na cudzym gruncie — jakie zaś konsekwencye to pociągnąć może za sobą, pojmie łatwo każdy. Kłusownik zabijający lisa na obcym gruncie, zasłoni się ustępem 1. §. 46, a pewno nikt mu udowodnić nie zdoła, że śledził tam zwierzynę, a więc że przekroczył ustawę. Naturalnie, że jeżeli uczyni to kłusownik, nie posiadający karty na broń i karty myśliwskiej, będzie mógł za to być pociągnięty do odpowiedzialności — ale mamy niestety kłusowników, którzy i kartą na broń i kartą myśliwską wykazać się potrafią!

Postanowienie tedy ust. 1. §. 46. wymaga koniecznej zmiany, względnie bliższego, jasnego określenia.

Podobnie niejasnem, a może nie tyle niejasnem, ile źle stylizowanem jest postanowienie §. 46 ust. 3, w myśl którego „właściciel gruntu może zabijać zapadłe na gruncie w stadach dzikie gęsi i kaczki, które się wówczas stają jego własnością“.

Rozumiemy, że ustawodawca chciał dać właścicielowi gruntów możność uchronienia się od szkód, jakie stada gęsi lub kaczek w ziemiopłodach wyrządzić mogą. Za szkody, wyrządzone przez stada gęsi i kaczek, nie można było czynić odpowiedzialnym uprawnionego do polowania — z konieczności wstawiono więc w ustawie przepis powyższy.

Przepis ten jednak dowolnie interpretowany, zdolny jest ograniczyć, a nawet wykluczyć prawo polowania na gęsi i kaczki ze strony uprawnionego do polowania. Dzierżawiąc polowanie gminne, nikt nie może być pewnym, iż udając się na polowanie błotne, na tz. wylewy, nie zastanie na każdym skrawku sianożęci wodą zalanej jej właściciela ze strzelbą: właściciel wytłómaczy swą obecność zezwoleniem, jakie mu nadaje ustęp 3. §. 46.

Że postanowienie to w ten sposób może być zrozumianem, nie ulega kwestyi, skoro ustawa mówi ogólnikowo o ptactwie zapadłem „na gruncie“. Ażeby więc uprawnienie w ust. 3. §. 46. zawarte, ograniczyć do właściwej zmiany, zamiast słów „na gruncie“ należałoby wstawić słowa „na polach uprawnych“. W tym też kierunku domagać się musimy zmiany §. 46.

Będąc przy postanowieniach, odnoszących się do ograniczeń prawa polowania, niepodobna nie wspomnieć o przepisie §. 35, ustęp ostatni. Ustęp ten postanawia, że „w razie zupełnego zamknięcia polowania w ciągu ostatnich lat dzierżawy polowania, może sobie dzierżawca polowania gminnego rościć pretensye do opustu połowy czynszu dzierżawnego“.

Postanowienie to, jeżeli zrozumiemy je jako zamknięcie polowania na wszelkiego rodzaju zwierzynę, jest bezwarunkowo niesprawiedliwem, gdyż niepodobna zrozumieć, dlaczego dzierżawca ma płacić chociażby połowę czynszu, skoro prawo polowania w całości utracił. Wprawdzie postanowienie to zdaje się odnosić tylko do ustępu c) §. 35, w którym mowa o zamknięciu polowania na pewnego rodzaju zwierzynę — gdy jednak ustęp ostatni §. 35 jako przepis ogólny, zawarty w osobnej alinei, mógłby być zastosowany w razie zupełnego zamknięcia polowania na wszelkiego rodzaju zwierzynę — należy domagać się zmiany jego stylizacyi w ten sposób, iżby po słowach „w razie zupełnego zamknięcia polowania“, dodano słowa „na pewnego rodzaju zwierzynę“, a następnie w osobnym ustępie dodatkowym orzeczono w razie zamknięcia polowania na wszelkiego rodzaju zwierzynę zupełny opust czynszu dzierżawnego.

Pomijamy inne liczne niejasności ustawy — do których postanowienia wykonawcze nie wprowadziły niestety więcej światła -- pomijamy nawet przepisy o odszkodowaniu, gdyż nie chcemy sprowadzać dyskusyi na pole zbyt drażliwe i gdyż, jak wyżej powiedziano, wiele a może nawet wszystko zależy od wykonania ustawy i jej należytej interpretacyi ze strony władz do tego powołanych— a przechodzimy do paragrafu, który najmocniej ze strony myśliwych wszystkich stanów jednym wielkim chórem zaczepiony został.

Mamy na myśli §. 41, który lapidarnym stylem orzeka, że „zakazanem jest polować w niedziele i święta uroczyste“.

Nikt z nas nie zapoznaje tendencyi, jaka z postanowienia tego wieje. Niech się skończą odciągania ludu wiejskiego na naganką w niedziele i święta — niech lud ten w hałaśliwej obławie nie ma sposobności widzieć profanacyi dnia świętego ze strony „panów“, którzy w wykonywaniu religijnych praktyk ludowi przykładem być powinni! Bardzo słusznie i bardzo dobrze — gdyby ustawa istotnie te względy była miała na oku i gdyby z jednej strony polowanie z naganką, lub polowanie w czasie nabożeństwa rannego objęte było zakazem — z drugiej zaś strony, gdyby ustawa była bliżej określiła, co pod wyrazami „święta uroczyste“ rozumieć należy!

Tak się jednak nie stało! ustawa ogólnikowem swem powiedzeniem wyklucza wszelkiego rodzaju polowania i to w niedziele i święta w ogóle! Cóż pod świętami rozumieć należy? Z zestawienia świąt z niedzielami zdaje się wynikać, że pod świętami należy rozumiec święta chrześciańskie — ale też na tem kończy się wskazówka dana w ustawie i do dalszej interpretacyi brak już wszelkich danych. Chodzi więc teraz o to, czy święta wszystkich wyznań chrześciańskich (ewangielickiego, szyzmatyckiego itd.), czy też tylko katolickie mamy pod tem rozumieć. A gdybyśmy przyjęli nawet, że tylko święta katolickie pod postanowieniem ustawy rozumieć mamy - to pozostaje jeszcze kwestya, jakiego katolickiego obrządku święta mają być zakazem objęte — pozostaje wreszcie kwestya, czy postanowienie ustawy odnosi się do wyznania tej osoby, która poluje, czy do wyznania tych, którzy są właścicielami gruntów, na których polowanie się odbywa?

Spodziewaliśmy się, że rozporządzenie wykonawcze określi i wyjaśni bliżej przepis §. 41. ustawy — tak się jednak nie stało i chcąc się zastosować do ustawy, wypada myśliwym zaprzestać polowania w niedziele i święta wszelkich uznanych wyznań i obrządków!

Jesteśmy przekonani, że większość z pomiędzy tu zgromadzonych nie polowała i dawniej w niedziele i święta—

jedni z nas ze względów na tradycyę i religię, inni chociażby dlatego, żeby nie ściągnąć na siebie nazwy „Sontagsjäger“. Ale niepodobna nam zaprzeczyć, że bardzo znaczna liczba myśliwych nie ma wcale możności polowania kiedy indziej, jak właśnie tylko w niedziele i święta.

Lekarz, urzędnik, oficer, adwokat, a nawet często i właściciel dóbr — korzystał z chwili wolnej od zajęć zawodowych, ażeby w niedzielę lub święto po południu oddać się szlachetnej rozrywce polowania. Dziś tego mu nie wolno. Jeżeli więc odtąd nie zaniecha polowania — bo żyłka myśliwska nie da się tak łatwo amputować — to uczyni to w dni powszednie, jednak ze szkodą materyalną, skoro zajęcia, dającego mu utrzymanie, zaniedba.

Ale nie tylko wzgląd ten czyni postanowienie ustawy nieodpowiedniem. Zakaz, w ustawie zawarty, sprowadzi niewątpliwie upadek Towarzystw myśliwskich—wzmożenie się kłusownictwa, i co za tem idzie, upadek gospodarstwa łowieckiego w kraju.

Nikt chyba nie zaprzeczy, że Towarzystwa myśliwskie, wiążące członków rygorem swych postanowień statutowych, gospodarujące z planem i konsekwencyą na obszarach dzierżawionych, utrzymujące straż łowiecką, prześladujące kłusowników, popierające premiami tępienie szkodników i podnoszące zwierzostan wspólnymi materyalnymi nakładami na karmę— uczyniły bardzo wiele w kierunku podniesienia gospodarstwa łowieckiego w kraju!

Jest rzeczą łatwo zrozumiałą, że wskutek postanowienia §. 41 ustawy, Towarzystwa utracą racyę bytu i że znaczna ich ilość upadnie; w ich miejsce wstąpią myśliwi luźnie wykonywujący prawo polowania. Że na tem ścisłe przestrzeganie zasad racyonalnego gospodarstwa łowieckiego tylko stracić może, tego dowodzić nie potrzeba.

Myśliwy, który samem zjawieniem się swojem na polu i w lesie był postrachem i przeszkodą dla kłusownika, odtąd pozostanie w niedziele i święta w domu — panem samowładnym w dni te będzie kłusownik!

Że ten wyzyska na swoją korzyść postanowienie ustawy, to nie ulega najmniejszej wątpliwości. — Dlaczego myśliwy ma być pozbawionym w dni te uprawiania swej rozrywki, tego uzasadnić nie podobna.

Przecież nikomu nie śniło się zakazywać nigdzie wykonywania w niedziele i święta sportów pokrewnych: wolno jeździć na bicyklu — wolno ślizgać się i pływać na łodziach — wolno ryby łowić i wolno nawet urządzać wyścigi — dlaczego więc nie wolno polować w pojedynkę?

Słusznem jest tedy jednogłośne żądanie myśliwych, ażeby w §. 41 wprowadzić konieczną zmianę, ograniczającą zakaz polowania jedynie do polowań z naganką, a z drugiej strony ograniczenie to odnieść tylko do niedziel i świąt tego wyznania i obrządku, jaki wyznaje większość ludności, zamieszkującej daną miejscowość.

Dyskusya, jaką panowie rozwiną nad tą sprawą, wykaże prawdopodobnie jeszcze niejeden szczegół ustawy, który wymagałby zmiany lub ustawniczego objaśnienia — dlatego też referatu naszego nie zamykamy wnioskiem szczegółowym, lecz ograniczamy się na postawienie ogólnego w n i o s k u:

Zjazd zechce uchwalić:

„II. Zjazd łowiecki, uznając na podstawie wyników dyskusyi na Zjeździe tym przeprowadzonej, konieczność rychłej zmiany niektórych postanowień ustawy łowieckiej z 5. marca 1897 l. 71 Dz. u. kraj., porucza Wydziałowi gal. Towarzystwa łowieckiego sprawozdanie i zaniesienie memoryału do Sejmu, z prośbą o jaknajrychlejsze ustawodawcze przeprowadzenie zmian tejże ustawy, po poprzedniem wysłuchaniu expertów spraw łowieckich i reprezentantów Towarzystw myśliwskich w kraju“.

Wybornego tego referatu, opracowanego ze znakomitą znajomością naszych stosunków łowieckich, a nadto fachowoprawniczo, wysłuchali zebrani z wielkiem zajęciem; ciągłe oklaski, którymi przerywano słowa referenta, były dowodem, że objął swym referatem właśnie to, co w nowej ustawie było niedokładne lub wadliwe i raziło lub bolało naszych łowców. Szczera podzięka należy się drowi Małaczyńskiemu, że nie żałował pracy i przedłożył zebraniu tak świetny referat, poruszający wszystkie braki nowej ustawy. Że słowa nasze nie są jakąś zwykłą dla referenta kurtoazyą, najlepszym tego dowodem ten fakt, iż gdy przewodniczący otworzył nad tym referatem ogólną dyskusyę, nikt się do głosu nie zapisywał, gdyż wszyscy mówili, że referat pomieścił w sobie wszystko to, co niektórzy z zebranych chcieli podnieść, a ks. Andrzej L u b o m i r s k i uczynił wniosek, aby z powodu tego, iż referat jest znakomicie opracowany i nikt przeciw niemu żadnych zarzutów nie podnosi, w myśl wniosku referenta, przekazano go wydziałowi Tow. łowieckiego do zrobienia z niego odpowiedniego użytku.

Nad wnioskiem tym wywiązała się ożywiona dyskusya. P. Seweryn K r o g u l s k i poparł wniosek ks. Lubomirskiego, podnosząc, iż wydział Tow. łowieckiego oparty na tym referacie, wypracuje memoryał i wniesie go do Sejmu.

P. Leon K r o b i c k i pragnie zrobić do tego wniosku dodatek, a mianowicie, aby w sprawie tej zasięgnięto opinii także innych prowincyonalnych Towarzystw łowieckich. Mogą one przecież podać nowe i dobre myśli. Proponuje więc, aby zjazd uchwalił polecić wydziałowi Tow. łowieckiego, by on zwrócił się w sprawie reformy nowej ustawy łowieckiej, z zapytaniem do wszystkich Towarzystw łowieckich na prowincyi.

Przemawiali jeszcze pp. Krogulski, Leon Krobicki, Szczerbicki i inni, poczem tak wniosek referenta, jakoteż wnioski ks. Lubomirskiego i L. Krobickiego uchwalono.

Nastąpił drugi punkt porządku dziennego. Wnioski członków.

Pierwszy zabrał głos p. L. K r o b i c k i i poruszył sprawę wydawnictwa *Łowca*. Podniósł mianowicie, iż *Łowiec*, mimo tego, że jest bardzo dobrze redagowany, jest za drogi dla ogółu. Wprawdzie członkowie gal. Tow. łowieckiego otrzymują go bezpłatnie, ale mowca ma to przekonanie, że gdyby cena prenumeraty *Łowca* była niższą, to rozchodziłby się daleko szerzej niż dotąd i miałby wielu prenumeratorów nawet wśród nieczłonków Towarzystwa. Mowca porusza więc myśl, czyby nie dało się stworzyć związku Towarzystw myśliwskich w kraju; każdy członek takiego Towarzystwa płaciłby jakiś podatek na rzecz związku, a w zamian za to mógłby następnie otrzymywać *Łowca* po zniżonej cenie. Tak np. rzecz ma się ze związkiem sokolim i wydawanym przez niego *Przewodnikiem gimnastycznym*. Mowca porusza tę myśl dlatego, że cena prenumeraty 5 złr. rocznie, wydaje się mu za wysoką dla ogółu myśliwców, których co najmniej jest 10 razy więcej w kraju, niż członków liczy gal. Tow. łowieckie.

Nad sprawą tą wywiązała się długa i ożywiona dyskusya.

P. Kajetan Abgarowicz, zaszczytnie znany pod pseudonimem Abgar Sołtana pisarz, sądzi, że *Łowiec* jest tani, a twierdzenie to opiera na tem, że zna się trochę na kosztach wydawnictwa i wie, iż pochłaniają one olbrzymie sumy.

P. Seweryn Krogulski oświadcza, iż wydział Tow. łowieckiego niejednokrotnie już zajmował się tą sprawą, poddawał ją szerokiej dyskusyi, ale ostatecznie doszedł do wniosku, że ceny prenumeraty *Łowca* nie można obniżać. Owszem był nawet wniosek, aby prenumeratę podnieść. Wydział stara się powiększyć liczbę członków Tow. i liczbę prenumeratorów. Pomianował po powiatach delegatów, którzy mają czuwać nad wzrostem myśliwstwa i jednać Towarzystwu członków. Starania wydziału pomyślny uwieńczył skutek, to dziś liczba członków z 300 wzrosła do 800. Wydział nie ustaje, stara się o rozszerzenie tego pisma w W. Ks. Poznańskiem i Królestwie polskiem, a gdy liczba czytelników się wzmoże i cenę prenumeraty zniżyć będzie można, bo wydział pierwszym będzie, który cenę tę zmniejszy. Ale niestety, praca wydziału utyka na apatyi znacznej części łowców. Czyż to nie smutne, że są myśliwi, którzy *Łowca* nie czytają i nie chcą się zaznajamiać z postępem na tem polu

P. Cieński proponuje, czyby myśli rzuconej przez p. Krobickiego nie możnaby w ten sposób urzeczywistnić, aby członkowie Towarzystw myśliwskich na prowincyi mogli *Łowca* prenumerować po zniżonej cenie, np. 3 złr. na rok.

P. Edmund Kolbuszowski, redaktor „Łowca", wykazuje, iż wydawnictwo tego pisma pożera dziś takie sumy, iż absolutnie prenumeraty obniżać nie można. Zresztą członkowie Tow. łowieckiego otrzymują to pismo bezpłatnie, a wkładkę roczną 5 złr., którą uiszczają, nie płacą tylko za prenumeratę, lecz także za to, że są członkami Towarzystwa i że korzystają z prac Towarzystwa i mają jako członkowie wiele prerogatyw. Wydział Tow. np. położył niemałe zasługi około uregulowania praw łowieckich w kraju, około zniesienia kłusownictwa, ciągle kołata u władz, a zawsze z pomyślnym skutkiem, aby ściśle przestrzegano ustaw łowieckich itd. Dzięki staraniom Wydziału Tow. starostwa otrzymały wskazówkę, aby jako rzeczoznawców w kwestyach łowieckich powoływały w pierwszym rzędzie delegatów i członków Towarzystwa. Wydział więc działa wiele, a chcąc działać, musi mieć fundusze, które czerpie z wkładek członków. Za ową wkładkę więc członkowie mają wielkie korzyści moralne i materyalne, a nadto dostają bezpłatnie *Łowca*. Zdaje się więc, że to wcale nie jest drogo. W końcu mowca oświadcza, iż dzięki tylko ofiarności prywatnej prezesa i wiceprezesa Tow. łowieckiego, *Łowiec* się dotychczas utrzymał, gdyż przez długie lata wykazywał deficyt, który pokrywali ci panowie.

P. Alfred Dzikowski przyłącza się do słów p. Kolbuszowskiego i oświadcza, że raczej głosowałby za tem, aby prenumeratę *Łowca* podwyższyć, a nie zniżać.

P. Żurowski również twierdzi, że prenumerata Łowca nie jest wysoką, ale mogłaby być niższą, gdyby myśliwi czytali *Łowca*, pisywali do niego i zyskiwali członków dla Towarzystwa.

P. dr. Siemiradzki sądzi, że w dyskusyi myśl p. Leona Krobickiego poszła na fałszywe tory. Kwestya kosztów *Łowca* jest podrzędną. *Łowiec* nie jest drogi, bo kto wydawał kiedy pismo, ten wie, iż tego taniej urządzić nie można. Jest to zresztą rzecz obojętna dla myśliwych, bo kto zajmuje się myśliwstwem, rozrywką już samą przez się bardzo kosztowną, temu nie będzie zależało na tem, czy za *Łowca* zapłaci 5 czy też 3 złr. Ważniejszą się wydaje mowcy kwestya poruszona przez p. Krobickiego, aby galicyjskie Tow. łowieckie stało się macierzą dla wszystkich w kraju Towarzystw łowieckich, i aby nią było nie tylko *de nomine*, ale i *de facto*. Wówczas *Łowiec* mógłby być zreformowany jako organ „Związku Towarzystw łowieckich".

Przewodniczący hr. Stefan Zamoyski sądzi, że kwestyę *Łowca* łatwo bardzo rozwiązać. Należy jednać dla Towarzystwa łowieckiego członków, a gdy liczba ich będzie wzrastała, to wówczas w tym samym stosunku będzie się obniżała prenumerata Łowca.

P. Leon Krobicki stawia rezolucyę, aby zjazd polecił Wydziałowi gal. Towarzystwa łowieckiego, by on poczynił starania w celu utworzenia Związku Towarzystw myśliwskich w kraju i aby założył nie tylko galicyjski, ale nawet polski Związek łowiecki.

Do myśli tej przyłącza się dr. Siemiradzki.

Dr. Miziewicz stwierdza, ze Wydział zwrócił się już do wszystkich Towarzystw myśliwskich w kraju, aby przystępowały do galic. Towarzystwa łowieckiego jako członkowie. Myśl p. Krobickiego uważa mowca za bardzo zdrową i dobrą, ale na razie jakiekolwiek obniżenie wkładki nie jest możebne, bo Towarzystwo jest właśnie w stanie rekonwalescencyi i musi przedewszystkiem wzmacniać się, obniżenie zaś wkładki, choćby, w przeprowadzeniu myśli p. Krobickiego, dało później pomyślne rezultaty, na razie odbiłoby się na funduszach Towarzystwa zniżką dochodów. Mowca widzi na razie jedyną drogę podniesienia Towarzystwa w zjednywaniu mu jak największej liczby członków.

P. Krobicki zabrał raz jeszcze głos i prosił zebranych, aby myśl jego poparli i by polecili Wydziałowi zajęcie się sprawą utworzenia krajowego Tow. łowieckiego.

Przemawiali jeszcze dr. Tadeusz Krobicki i Cieński, poczem przewodniczący zamknął dyskusyę, a zgromadzenie uchwaliło polecić Wydziałowi gal. Tow. łowieckiego, aby zajął się myślą, poruszoną przez pp. Leona Krobickiego i dra Siemiradzkiego.

Następnie zabrał głos ks. Andrzej Lubomirski i oświadczył, iż nieobecny na zebraniu z powodu choroby wiceprezes Towarzystwa łowieckiego p. ordynat Czarkowski Golejewski prosił go, ażeby poruszył na zjeździe myśl, czy dla zainteresowania szerszego ogółu łowców nie byłoby wskazanem, żeby przyszły zjazd łowiecki nie odbył się we Lwowie, lecz w innej części kraju, np w Krakowie. Kraków jest mało w Towarzystwie łowieckiem reprezentowany, więc gdyby tam urządzono zjazd, to może i zachodnia Galicya zainteresowałaby się sprawami łowieckiemi i dla Tow. możnaby było pozyskać nowych członków. Przemówienie swe zakończył mowca rezolucyą, aby zjazd polecił Wydziałowi gal Tow. łowieckiego zastanowić się nad tem, czyby nie było dobrem przyszły zjazd urządzić w Krakowie. Rezolucyę tę uchwalono jednogłośnie

P. Kajetan Abgarowicz uczynił następujący wniosek: W roku bieżącym obchodzimy jubileusz Mickiewiczowski. Trzebaby się i nam przyłączyć do tej uroczystości. Czynię więc wniosek, aby zjazd uchwalił złożyć pewną sumę na pomnik Mickiewicza we Lwowie i żeby grudniowy numer *Łowca* poświęcony był pamięci wieszcza. Wniosek ten jednomyślnie przez aklamacyę uchwalono.

Następnie odczytał przewodniczący p. Stefan hr. Za-

moyski okólnik Namiestnictwa (okólnik ten zamieszczamy pod rubryką „Sprawy Towarzystwa“ Przyp. redakcyi), poczem wezwawszy zebranych, aby starali się werbować członków dla Tow. łowieckiego i podziękowawszy im za przybycie na zjazd, zamknął obrady drugiego zjazdu łowieckiego.

Na wniosek p. Krogulskiego wyrażono przewodniczącemu podziękowanie za kierownictwo obradami. Na tem zakończono.

* * *

Popołudniu na Strzelnicy wojskowej odbyło się popisowe strzelanie członków zjazdu o nagrody. Pogoda była prześliczna, upał łagodził chłodny wietrzyk. Dzięki uprzejmości komenderującego jenerała i komendanta korpusu lwowskiego JE. p. Fiedlera, strzelnica wojskowa była oddaną na usługi członków zjazdu, a pobyt im uprzyjemniała muzyka 24. p. p., przygrywając rozmaite utwory.

Na strzelnicy zebrało się liczne grono pań, które z zajęciem przypatrywały się zapasom strzeleckim, a barwne suknie pań malowniczo odbijały od czarnych przeważnie strojów męskich. Licznie zebrali się też oficerowie korpusu lwowskiego, z których również niektórzy wzięli udział w strzelaniu.

O godz. 4. przewodniczący komisyi zjazdowej p. wiceprezydent dr. Witołd Mora Korytowski, ogłosił, iż popisowe strzelanie się zaczyna. Strzelań tych było pięć.

Pierwszem było strzelanie do tarcz stałych na odległość 80 kroków, o trzy nagrody ofiarowane przez galicyjskie Tow. łowieckie. W strzelaniu tem brali udział członkowie Tow., uczestnicy zjazdu i osoby przez Tow. zaproszone. Zgłosiło się 16 uczestników, a mianowicie pp.: Tadeusz Barącz, Aleksander hr. Bielski (junior), Aleksander Bieniecki, Władysław Godowski, Józef Grünwald, Tadeusz Klusik, kap. Alfred Knapp, Seweryn Krogulski, Tadeusz Krumholz, Kazimierz Marmoross, Albert Mniszek, Edward Pauli, Stanisław Pieńczykowski, Aleksander Przedrzymirski, Jan Stojowski i Władysław Wiktor.

Każdy ze strzelających używał własnej broni myśliwskiej (sztućce tarczowe, mannlichery, sztućce z lunetami i gukierami były wykluczone) i dawał 5 strzałów bezpośrednio po sobie następujących.

Pierwszą nagrodę (zegar myśliwski, ozdobiony rogami jelenimi) otrzymał p. Józef Grünwald, drugą (garnitur myśliwski do pisania) p. Albert Mniszek, trzecią (laska z głową charta w srebrze) p. Seweryn Krogulski, który zrobił wspaniałe dwa gwoździe. Niemniej celne strzały oddali pp. Barącz, Marmoross, Pauli, Stojowski, Wiktor, Krumholz, hr. Bielski i kap. Knapp.

W drugiem strzelaniu kulami do tarcz stałych na odległość 80 kroków, o dwie nagrody, wzięło udział 16 uczestników. Do udziału w tem strzelaniu uprawnieni byli tylko członkowie i delegaci Tow. łowieckiego. Zgłosili się pp. hr. Bielski, Bieniecki, Godowski, Grünwald, Klusik, Krogulski, Krumholz, ks. Andrzej Lubomirski, Marmoross, Mniszek, Edward Nahlik, Pauli, Pieńczykowski, Przedrzymirski, Alfred Rosenberg i Stojowski.

Pierwszą nagrodę (kosz na papiery z rogów danielich, dar wiceprezesa gal. Tow. łowieckiego p. ordynata Tadeusza Czarkowskiego-Golejewskiego) otrzymał p. Stojowski, drugą (ozdobny kordelas, dar wiceprezesa komitetu urządzającego popisowe strzelanie Aleksandra hr. Bielskiego), otrzymał p. Przedrzymirski.

Dalej celne strzały oddali pp. Marmoross, Bieniecki, Krogulski, Pieńczykowski, ks. Lubomirski, Mniszek, hr. Bielski, Grünwald, Klusik i Nahlik.

W trzeciem strzelaniu kulami do tarcz stałych na odległość 120 kroków, mogli brać udział członkowie i delegaci gal. Tow. łowieckiego, oraz członkowie im. św. Huberta. Zgłosiło się 15 uczestników, a mianowicie pp.: kap. Aleksandrowicz, Barącz, Bieniecki, porucznik Goldschmidt, Grünwald, Klusik, Krogulski, Krumholz, Marmoross, Mniszek, Pieńczykowski, Przedrzymirski, Rosenberg, kap. Stiller i Stojowski.

Pierwszą nagrodę (niedźwiedź trzymający stolik, dar prezesa gal. Tow. łowieckiego hr. Romana Potockiego) otrzymał kap. Stiller, drugą (pistolet repetierowy Mausera, ostrzelany na 1000 kroków, dar Tow. myśliwskiego im. św. Huberta), otrzymał p. Przedrzymirski.

Dalej celne strzały oddali pp. Stojowski, Marmoross, Mniszek, Barącz, kap. Aleksandrowicz, Bieniecki, Klusik i Krogulski.

Do czwartego strzelania do kul szklanych wyrzucanych w górę zapomocą odpowiedniej maszyny, mimo, że mogli w niem brać udział członkowie Towarzystwa, uczestnicy zjazdu i osoby przez Tow. zaproszone, zgłosiło się tylko 9 uczestników, a to dlatego, iż warunki tego strzelania były nadzwyczaj ostre. Oto było postanowionem, że przy strzelaniu do kul, każdy ze strzelających daje w porządku alfabetycznym nazwisk po jednym strzale, a kto kulę chybi, odpada przy strzelaniu do dalszych kul

Do strzelania tego zgłosili się więc tylko pp.: kap. Aleksandrowicz, Bieniecki, por. Goldschmidt, kap. Knapp, Nahlik, Pauli, kap. Stiller, hr. Stefan Szembek.

Pierwszą nagrodę (ekran ręcznej roboty, nagroda dam), za pięć zbitych kul w pięciu strzałach, otrzymał kap. Knapp, drugą, (srebrna papierośnica, dar prezesa komitetu urządzającego popisowe strzelanie p. Witołda Korytowskiego) za pięć zbitych kul w pięciu strzałach, z tych dwa dublowane, otrzymał kap. Stiller, trzecią (stelaż na laski, z jelenich rogów, dar członka gal. Tow. łowieckiego p. Alfreda Dzikowskiego) za 4 zbite kule w 5 strzałach, otrzymał kap. Aleksandrowicz.

Nadto hr. Szembek w 4 strzałach zbił 3 kule, a porucznik Goldschmidt w 3 strzałach dwie kule.

Popisy strzeleckie zakończyło strzelanie piąte kulami do tarcz ruchomych, przedstawiających zwierzynę, o trzy nagrody.

Całe towarzystwo z miejsca, gdzie się odbywały cztery pierwsze strzelania, ruszyło na piękną polanę, na której odbyć się miało piąte strzelanie. Wojskowość dla gości ustawiła tam namiot Panie zajęły częściowo miejsce pod namiotem, częściowo obok namiotu, panowie ustawili się z obu stron namiotu.

Słońce, które już to prażyło swym ogniem, już to chowało się za chmury, chyląc się ku zachodowi, pierwszym strzelcom, którzy w tem strzelaniu wzięli udział, wyrządziło psotę, gdyż świecąc im czerwonym swym blaskiem wprost w oczy, utrudniało im dokładne wzięcie poruszanej tarczy na cel. Ostatni strzelcy mieli pozycyę wygodniejszą, gdyż słońce schowawszy się już poza widnokrąg wcale im nie przeszkadzało.

Do zapasów zgłosiło się 14 uczestników, a mianowicie pp. Aleksandrowicz, Bieniecki, Goldschmidt, Grünwald, Klusik, Knapp, Krobicki, Krogulski, Marmoross, Mniszek, Pauli, Pieńczykowski, Przedrzymirski i Stiller.

Pierwszą nagrodę (Dyana z bronzu, nagroda dam) otrzymał za pięć celnych strzałów: cztery w komorę, jeden w przedni badyl, p. Edward Pauli; drugą (pistolet Bergmanna 5-strzałowy, dar Andrzeja ks. Lubomirskiego) otrzymał za pięć celnych strzałów: 3 w komorę, jeden w zad, a jeden w przedni badyl, p. Albert Mniszek; trzecią (głuszec tokujący z bronzu, jako kałamarz myśliwski, dar Komitetu, urządzającego popisowe strzelanie) otrzymał za trzy celne strzały w komorę, kapitan Knapp.

Nadto odznaczyli się w tem strzelaniu pp. Aleksandrowicz (3 celne strzały), Goldschmidt (3 celne strzały), Klusik (3 celne strzały), Marmoross (2 celne strzały) i Pieńczykowski (2 celne strzały). Po jednym celnym strzale zrobili pp. Grünwald, Krogulski i Przedrzymirski. Na tem popisowe strzelanie zakończono.

Do sądu, który przyznawał nagrody, wchodzili pp. Juliusz hr. Bielski, J. E. jenerał porucznik Plentzner i dr. Witołd Korytowski, jako członkowie, a Juliusz hr. Tarnowski, jako zastępca.

* * *

Wydział galicyjskiego Towarzystwa łowieckiego, jako inicyator zjazdów łowieckich, dumnym być może z przebiegu obrad drugiego zjazdu. Obrady te mogą wydać plon obfity i pod każdym względem naprawić i polepszyć nasze stosunki łowieckie w kraju. Uchwała zjazdu, polecająca Wydziałowi gal. Tow. łowieckiego wnieść na podstawie wybornego referatu dra Małaczyńskiego i na podstawie opinii zasiągniętej u ekspertów łowiectwa i Towarzystw myśliwskich na prowincyi, memoryał do Sejmu, może mieć dla spraw łowieckich ogromne znaczenie.

Memoryał taki stanie się substratem obrad dla komisyi sejmowej i może spowodować te zmiany ustawy łowieckiej, których ogół słusznie się domaga i które są konieczne dla podniesienia i rozwoju gospodarstwa łowieckiego w kraju. Memoryał taki, będący — że tak się wyrazimy — ekstraktem zdań i opinij fachowych łowców musi zaważyć na szali.

Wielką doniosłość może mieć myśl poruszona na zjeździe przez p. Leona Krobickiego. Utworzenie Związku Towarzystw łowieckich zcentralizowałoby w rękach Zarządu Związku najważniejsze sprawy łowieckie i przyczyniłoby się nadzwyczaj do ich rozwoju i podniesienia.

Szczęśliwą również myślą nazwać należy projekt wiceprezesa Tow. p. Czarkowskiego-Golejewskiego, przedłożony przez ks. Lubomirskiego, aby zjazdy łowieckie odbywały się w rozmaitych stronach Galicyi, a przyszły, aby się odbył w Krakowie. Gal. Tow. łowieckie, urządzając te zjazdy w różnych miastach Galicyi, zainteresuje żywiej sprawami łowieckiemi cały kraj i pozyska dla siebie z pożytkiem dla łowiectwa silniejszy grunt wszędzie, pozyska dla siebie nowy a długi szereg członków, co wyjdzie tylko na pożytek tak bogatej u nas, a niestety tak zaniedbanej gałęzi gospodarstwa krajowego, jaką jest łowiectwo. Da Bóg, że dzięki skrzętnej pracy Wydziału i poparciu dążeń jego przez łowców w kraju, z czasem dojdziemy do tego, że łowiectwo u nas stanie tak wysoko, jak stoi w Czechach lub w Niemczech i że będzie ono jednem z poważnych źródeł dochodów kraju.

Zjazd polskich łowców zakończył swe obrady hołdem oddanym największemu geniuszowi polskiemu, którego setna rocznica urodzin przypada na rok bieżący. Na wniosek członka Towarzystwa i zaszczytnie znanego pisarza, p. Kajetana Abgarowicza, zapadła uchwała, aby przeznaczyć pewną sumę na pomnik wieszcza we Lwowie i numer grudniowy *Łowca* poświęcić pamięci wieszcza. Uchwałą tą zjazd dorzucił listek wawrzynu, do wieńca hołdu, jaki cały kraj składa nieśmiertelnemu wieszczowi.

* * *

Przed zamknięciem posiedzenia zjazdu, przewodniczący hr Stefan Zamoyski odczytał reskrypt namiestnictwa, wystosowany do Wydziału Tow. łowieckiego, oraz okólnik bardzo ważny dla członków Towarzystwa. Jest to znów jeden pomyślny rezultat skrzętnych prac i starań Wydziału, który wraz z prezydyum, wszelkich dokłada starań, aby jak najlepiej wywiązać się z włożonego nań przez Walne zgromadzenie zadania i przynieść pożytek krajowi i łowcom. Wszyscy członkowie Wydziału pracują niezmordowanie, nie szczędzą swych trudów i im zawdzięczyć należy tak świetny w ostatnich czasach rozwój Towarzystwa.

Przykro było uczestnikom zjazdu, że nie było na nim wiceprezesa Tow. łowieckiego, p. ordynata Czarkowskiego-Golejewskiego, który złożony chorobą, nie mógł brać udziału w obradach i widzieć, iż myśl zainicyowana przez niego, tak pięknie się rozwija, a Tow. łowieckie, które całem ukochał sercem i dla którego nie żałował pracy i ofiar, coraz pomyślniej wzrasta.

* * *

Kończąc sprawozdanie i uwagi o drugim zjeździe łowieckim, uważamy za swój obowiązek, a działamy tu także w myśl intencyi Wydziału Tow. łowieckiego, złożyć serdeczne podziękowanie komendantowi korpusu lwowskiego, JE. p. Fiedlerowi, JE. p. jen. Plentznerowi i gronu oficerskiemu, za ich pomoc przy urządzeniu popisowego strzelania, sędziom za ich trudy podczas strzelania i Komitetowi, urządzającemu zjazd i strzelanie popisowe, za ich trudy i znakomite wywiązanie się z nałożonego na nich zadania. Serdeczne dzięki. *Redakcya.*

ŻÓRAW.

I.

(Wędrówki. — Popasy. — Legi. — Żórawie jałowe. — Życie jesienne. — Odlot. — Bajeczki o jeżdżących ptakach).

Kiedy z pierwszym brzaskiem wiosny w niedoścignionych błękitach zastruka klucz przeciągających żórawi, to przeraźliwy kiedy indziej krzyk brzmi w uszach niby niebiańskiej arfy dźwięk, dziwna jakaś otucha wstępuje w serce ziemianina, roją się nadzieje różowe i wpatrujesz się z zachwytem w klinowe szeregi dalekich wędrowców. A wszystko to gdzieś dąży dalej, wszystko zmierza ku północy, powiększają się nieco u zenitu szare ptaszki w prze-

czystych lazurach pogodnego nieba, ale wnet mija powabne zjawisko, plamki maleją, wreszcie roztapiają się zupełnie na północnym nieboskłonie i tylko jeszcze długo dolatuje ich hymn podniebny z oddali, zkąd oko już żadnych wrażeń wyłowić nie jest w stanie. Poleciały na północ, zkąd jeszcze niedawno na mroźnych skrzydłach Aquilonów przybywały do nas mieszkańce strefy arktycznej na chwilowy popas, gdy im zanadto dała się we znaki zima ich ojczyzny. Teraz inaczej, coraz wyższym łukiem mknie słońce po niebie, spłynęły lodów skorupy i lepszych dni wróżba tętni tam wśród całej natury. Wszystko to poczuł mądry żóraw— wie, że po kapryśnych wybrykach zimy pogoda się ustaliła, że bez obawy może już podjąć podróż do tych dalekich kresów, gdzie ma spełnić najważniejsze zadania swego życia. To też z wiarą i nadzieją brzmią teraz choralne akordy latawców siwopiórych, każda chwila zbliża je do granic przeznaczenia, gdzie wkrótce ma zawrzeć miłości urocza krucyata.

Donośny głos żórawia ma swą przyczynę w anatomicznej budowie tchawicy, przedłużonej nadmiernie i podwójnie zakręconej przed wejściem do klatki piersiowej. Brzmi on w powietrzu potężnie i charakterystycznie, a nawet na ziemi wydany i na milę odległości dosłyszanym być może.

Nie ma krainy pomiędzy południem a pasmem legowym żórawi na północy, w którejby nie dostrzegano wędrujących żórawi, a jednak w ostatnich już czasach usiłowano uzasadnić teorję o drogach powietrznych wędrownego ptactwa, będącą jednak przynajmniej co do żórawi w zupełnej sprzeczności z codziennem doświadczeniem. W jakichś gęsich marszach, zależnych w swym kierunku od konfiguracji wybrzeży morskich, lub od przebiegu koryt rzecznych, mają wedrować ptaki. Profesor Dr. Zschokke w wykładzie swym, mianym w Bazylei w 1892 na temat: „Wandertrieb und Wanderungen der Vögel“ w towarzystwie ornitologów, jest świętego przekonania, że „anfangs der siebziger Jahre sind von Sundenvall die Zugstrassen des Kranichs in Europa zum ersten Mal richtig dargestellt worden“. W r. 1876 pojawiło się dość spopularyzowane dzieło Palmena, docenta geologii w uniwersytecie w Helsingfors: „die Zugstrassen der Vögel“, w którem autor szeroko rozwija myśli wielkiego Wallaca i w dodatku wykreśla czerwonemi liniami szlaki, po których ptaki wędrować mają. Wspominając o pracach Sundevalla, stara się Palmen również i żórawiom wytknąć powietrzne drogi, za co zyskuje poklask wspomnianego prof. Zschokkego, który uznaje pracę Palmena, i przychodzi do wniosku, że praca ta „zeigt uns die Zugstrassen der Vögel in ganz ungeahntem Lichte“.

Gdy geologowie olśnieni teorjami Darwina, rozpoczęli budować w tym zakresie spekulatywne gmachy, otrzymały wędrówki ptaków wspaniałe tło geologiczno historyczne. W dawnych klimatycznych krajach globu mają leżeć przyczyny wędrówek, od dawnych konfiguracji lądów w epokach ubiegłych mają zależeć pewne drogi, po których obecnie ptaki wędrują, odziedziczywszy od swych przedhistorycznych przodków zwyczaje i skłonności. Nie brak zatem kanwy, na której fantazja naukowa haftować może kombinację bez końca, częstokroć jednak całe foliały niby to systemów, w których przypuszczenia oparte na przypuszczeniach, spiętrzaja się monstrualnie, nie mogą zaspokoić nas na chwilę, wędrówki ptaków pozostają misterną zagadką i syreni głos przeciągających stad wabi dalej myśl wkoło nowych i dalszych kombinacyi.

* * *

Ledwie jakaś cząstka przeciągających po nad naszą krainą żórawi pozostaje u nas przez czas lęgów, mało bowiem jest już takich okolic, gdzieby ten mądry i przezorny ptak czuł się bezpiecznym. Większość przeciągających kluczy dąży dalej na północ, pojedyncze parki oddzielają się w miarę posuwania się stad, gdy tylko okolica dla lęgów korzystne przedstawia warunki, aż wreszcie wielkie jeziora w Rosji lub brzegi baltyckiego morza stanowią ostateczny kres podróży głównych mas.

W rozmaitych okolicach naszej krainy zdarza się bardzo często, że zapadnie podczas ciągów wiosennych parka żórawi, zdradzając się na bardzo daleką metę przeraźliwym krzykiem, szczególniej w brzasku rannym. Ptaki te jednak zazwyczaj nie pozostają długo — po kilku dniach wypoczynku, uznaje mądra główka niepewność sytuacji, a uważając towarzystwo za niezbędne w podróży, śledzi z gęstej zarośli wytężonymi zmysły, czy się gdzie nie pojawią w błękitach nowe szeregi pobratymców. Wreszcie nadchodzi upragniona chwila — gdzie od dalekiego poludnia dolatują strukania stada, głosy się przybliżają, żóraw z gęstwi wznosi głowę, przekręca w stronę, zkąd głosy rozbrzmiewają, oko przebiega przestwory powietrzne i trafia wreszcie na rozwinięte szeregi klucza przeciągającego. Przeraźliwy krzyk rozlega się przy ziemi — za chwilę wznosi się parka wolnym, majestatycznym lotem, zatacza wielkie koło, wzbijając się ku górze, następuje silne wachlowanie skrzydeł i w tym ruchu przyśpieszonym popasowce dościgają klucz współplemienników. Jeszcze kilka oderwanych rozbrzmiewa strukań i wnet wszystko roztapia się w niebie, dążąc do wygodniejszej ojczyzny.

Głośne zachowanie się pojedynczych par żórawi zapadłych podczas ciągów wiosennych, mogły zrodzić mniemanie, że ptak ten w naszych okolicach bardzo gęsto się gnieździ, tymczasem tak nie jest, bo pielesze żórawi ograniczają się na niewiele okolic, a i w takim razie rozsiedlanie gnieżdzących się tam ptaków jest bardzo rzadkie, gdyż żóraw kiedy indziej bardzo towarzyski, w życiu rodzinnem zamyka się zupełnie i na daleką milę nie znosi współzawodnictwa pobratymców.

Otóż jedynie tylko wielkie obszary spokojnych błot i zarośli, a w tych znów miejscach trudno przystępne ukrywają rzadkie pielesze żórawia. Pragnąc widocznie zabezpieczyć zniesienia od zatopu, obiera zwykle na gniazda naturalne wzniesienia okolicznego terenu, zazwyczaj kupiasty krzak nadaje się ku temu najlepiej. Tam znosi parka żórawi mnóstwo łomu i traw suchych, mchu, a już w kwietniu spotykałem na Styrzańskich błotach prawie ukończone, i to 18“ nad okoliczny poziom wzniesione gniazda.

Z początkiem maja w niewielkim zaklęśnieniu tej kupy składa żórawica w regule tylko dwa jaja, które jednak tyle się różnią i rozmiarami i kształtem i ubarwieniem że po za gniazdem można by je uważać całkiem słusznie za zniesienia dwóch daleko od siebie stojących odmian. I tak naprzykład jedno jajo miało długości 107 mm. grubości 60 mm. Drugie jajo 43 mm. długości a 63 mm. grubości, w obec tych różnic kształtów, barwa skorupy i linie rysunkowe były odmienne. Zabarwienie wogóle trudno daje się opisać, jest to mięszanina samych niedeklarowanych, dzikich kolorów rzucona w nieregularnych plamach na chropowatej i niby brodaweczkami nalepionej skorupie.

Oprócz tej nader słabej płodności, wiele bardzo żórawi pozostaje w stanie jałowym. Ptaki te przez cały rok trzymają się w mniejszych lub większych stadach i nie czynią

wcale wrażenia ptactwa błotnego, przelatują przeważnie po nad polami, gdzie częstokroć dotkliwe wyrządzają szkody w zasiewach. Jest niemal powszechna wiara pomiędzy przyrodnikami, że stada takich jałowych żórawi składają się z roczniaków, niezdatnych jeszcze wrzekomo do rozpłodu, i tak jest po większej części, jednak za regułę tego uważać nie mogę, gdyż znachodzą się tam w pomieszaniu i egzemplarze dojrzałe, być może już przejrzałe, o ciemnej szyji, o zielonawym dziubie, z czerwoną nasadą, które widocznie w poczuciu swej impotencji, stały się nader jednostronnymi hołdownikami zasad epikurejskich. Roczniaka poznać można nie tyle po wielkości, ile po jasnem zabarwieniu szyji i po żółtawym dzióbie, nieco tylko ciemniejszym przy nasadzie.

Taki „Zweikindersystem“ wykonywany corocznie przez większość społeczeństwa, doprowadziłby ludzkość wkrótce do skutków kombinacji Malthusowych, u ptaka jednak narażonego na tyle niebezpieczeństw, co żóraw, groziłby przeciwnie zagubą gatunku, gdyby nie szczególna pieczołowitość, jaką rodzice otaczają ptaki i gdyby nie nadzwyczajna przezorność osobnicza. Z nieopisaną finezją starają się rodzice zażegnać wszelkie niebezpieczeństwo, grożące zniesieniu lub nieudolnej jeszcze młodzieży, a nie brak spostrzeżeń podejmywania otwartej walki przez żórawicę w obronie gniazda. W obec zbliżającego się niebezpieczeństwa parka żórawi prześciga się nawzajem w pomysłach w celu zmylenia śladu i ściągnięcia uwagi w innym kierunku, jednak nie rzadko wszystko to nie wystarcza, gniazdo z zasiedziałym ptakiem zostało odkryte, wtenczas w obronie najdroższego skarbu i życie niczem, ptak się zapuszcza w nierówną z napastnikiem walkę, a dziób niby sztylet zadaje okrutne razy. Osobiście nie miałem sposobności dostrzedz takiej czynnej obrony gniazda, ale widzieli ją inni. — Naszedłszy przypadkowo gniazdo, czekałem długo zanim na daleką metę pokazali się rodzice, przelatywały po kilkakroć razy obok siebie w znacznem oddaleniu, kilka oderwanych strukań rozbrzmiało w powietrzni i ptaki znikły w gęstwi traw i zarośli. Mogłoby się zdawać, że odnalezienie tak pokaźnej kopicy, jaką jest gniazdo żórawi, jest rzeczą wcale łatwą, tymczasem chyba pies lub przypadek zaprowadza w to miejsce, strzeżone gęszczą zarośli, łomów, oczeretów i własnościami okolicznego terenu. Żórawięta po wykłuciu się, co po 28 dobach ma miejsce, li tylko kilka dni na gnieździe pozostają, siedząc raczej na całych stopach niż stojąc, jednak odrazu jedzą same, a stare znoszą im różne przysmaki. Silne odżywianie przy znakomitym apetycie wzmacnia wnet szczudła, a po kilku dniach przechadzają się już wraz ze starymi w bliskości gniazda. Po miesiącu posiadają już taki charakter w szczudłach, że potrafią ujść wszelkiej pogoni, kryjąc się w miejsca nieprzystępne. — Mieszkając przez długie lata nad ogromnymi moczarami w Złoczowskiem, gdzie się regularnie parka żórawi gnieździła, doświadczyłem nieco z życia i obyczajów tego ptaka. Pomimo, że żóraw w każdej innej porze jako ptak wielki i krzykliwy narzuca się uwadze, w epoce legowej zmienia zupełnie swe usposobienie i zachowuje się pod każdym względem bardzo skromnie. Lata bardzo mało i tylko z konieczności za żerem biega, przesuwając się cicho trawami, w ogólności po gąszczach i nieprzystępnych łąkach przepędza większą część dnia, zajęty niemal bezustannie wyławianiem najrozmaitszej żywności ze świata zwierzęcego. Tu trudno wyliczyć co mu wszystko smakuje, bo co tylko trąci zwierzęcem pochodzeniem, to wszystko zwraca na siebie uwagę żórawia, a sztyletowaty dziób wykonywa raptownym rzutem wyrok zatraty. A rzut ten prawie nigdy nie chybia celu — pochwytuje na trawach siedzącą libellę, wyławia żabkę lub rybkę z wody z równą łatwością, jako nieruchomą ikrę lub chrząszcza wodnego, masakruje zniesienia ptactwa wodnego, a nawet, gdy się uda, nie gardzi i większą zwierzyną, chwyta kureczkę wodną, przepióreczkę, przyczem w sposób najobrzydliwszy przypominający boę napycha się zdobyczą.

Cały ten sezon rodzinnego życia żórawia pokrywa zazwyczaj gruba zasłona i li tylko niektóre fragmenty udało się zdemaskować w ciągu długiego szeregu lat. Począwszy od pory godowej aż do chwili wyzwolenia młodzieży z pod opieki rodzicielskiej, kiedy znów wszystko łączy się w stada, żóraw nie może już z samej natury rzeczy zwracać wielkiej uwagi myśliwego, przeciwnie zapadnięcie żórawi stadnych elektryzuje myśliwego w sposób niezwykły, nadarza się sposobność prawdziwego sportu, zmierzenia swej zręczności i wytrwałości, z bezprzykładną przezornością rozumnego ptaka; kończy się to zazwyczaj na veni i vidi, a zwycięstwo odnoszą niezrównane zmysły i spryt zachowawczy żórawi. — Dybiąc całe życie za taką łowiecką romantyką, w której ani śladu ekonomicznej podlewy, a która dzięki żórawiom, a nie naszym humanitarnym uczuciom, odbywa się zazwyczaj w sposób całkiem bezkrawy, muszę jeszcze powrócić do stadnych wędrówek żórawi i do tych w niektórych okolicach stałych, gromadnych włóczęgów polnych.

Wł. Spausta.

(Dok. nast.).

KILKA UWAG O NOWEJ USTAWIE ŁOWIECKIEJ.

Jak maszyna wadliwie zbudowana, działająca jednak jako tako, a oddana do naprawy w nieudolne ręce, staje się nakoniec całkiem nieużyteczną — tak i nasza dawna ustawa łowiecka, bez wątpienia także bardzo wadliwie zbudowana, oddana teraz do naprawy, wyszła z niej w smutnej postaci jako nowa ustawa, na szkodę krajowego łowiectwa, co każdy myśliwy dziś czuje — a niestety — w przyszłości odczuje jeszcze bardziej. — Nie mam zamiaru zajmowania się krytycznym rozbiorem wadliwości tej nowej ustawy, ograniczam się tylko na wytknięcie usterek tyczących się ochrony zwierzyny. I tak, przedewszystkiem zwracam uwagę na niestosowną porę ochrony naznaczoną na połowę czerwca, jako rozpoczęcie łowów na wodne ptactwo. Po ten czas bowiem młode kaczki i gęsi dzikie zaledwie są wylęgłe. Czyż się godzi podówczas zabijać matkę rodziny i w ten sposób jej lęg cały niszczyć? Czyż nie byłoby obowiązkiem ustawy choć na dzień 1. lipca ochronę dla wodnego ptactwa przedłużyć? — A teraz sprawa druga. Ochrona jeleni, którym ustawa do niesłychanych rozmiarów protekcyi udziela, bo niejako tylko z wyjątkiem pory ry-

kowiska, osłania je swoją tarczą. Bardzo to piękne, ale niepraktyczne, a przedewszystkiem niesprawiedliwe. W ostatnich czasach stan jeleni bardzo się rozmnożył w naszym kraju i w okolicach, w których dotąd ich nie było, napływają teraz obficie i trzymają się w naszych podgórskich okolicach przez rok cały, a na rykowisko powracają jednak stale w swe rodzinne góry. To jest wedle nowej ustawy łowieckiej jedyna prawie pora, w której wolno na nie polować. — Zaledwie kilku jest właścicieli obszarów górskich lub ich dzierżawców, którzyby z tych łowów korzystać mogli, a tylu jest właścicieli myśliwskich obszarów podgórskich, u których jelenie przez rok cały przebywają i niemało im nawet szkody wyrządzają w ziemiopłodach, a na czas rykowiska w góry się wynoszą. Dla nich przyjemność polowania na jelenia jest niemożliwą, bo i przedtem i potem nowa ustawa przed strzałem go ochrania.

Łanie i śpiczaki ochraniajmy wszelkiemi siłami, ale stare rogacze, czy to jelenie, czy sarnie, jako szkodliwe dla zwierzostanu, powinno być wolno strzelać w każdej porze i ich ustawa ochraniać nie powinna.

Zdaniem mojem byłoby pożądanem, ażeby Wydział Towarzystwa łowieckiego postarał się o wniesienie poprawki do nowej ustawy, ażeby czas ochronny wodnego ptactwa przedłużony został do 1. lipca — i ażeby zniesiony został zakaz strzelania starych rogaczy jeleni i sarn przez cały rok.

Zaprowadzenie kart myśliwskich u nas, uważam także za środek zupełnie niepraktyczny i chybiający celu. Wymierzonym został niby przeciw kłusownikom, ale spudłował z pewnością, bo w kłusowników nie trafi, a ugodzi tylko w porządnych myśliwych. — Ta ustawa jest to poprostu ślepe naśladownictwo naszych hakatystów sąsiadów. Tam bowiem ze względów politycznych ma ona racyę bytu na pognębienie naszego narodowego żywiołu. Ale czyż naszą jest rzeczą zaprowadzać to u nas? Naocznie miałem sposobność się przekonać, do jakiego stopnia sprawa zaprowadzenia kart myśliwskich w Wielkopolsce wymierzoną jest tam przez hakatystów na pognębienie żywiołu polskiego. Nie łudźmy się wcale wyobrażeniem, że tam pod wzorowym rządem pruskim i tym przechwalanym ich porządkiem, kłusownictwo jest tak srogo tępione. Przeciwnie, miałem sposobność się przekonać, że ono grasuje tam w daleko większych jeszcze rozmiarach, niż u nas i pomimo licznej straży, konnych i pieszych żandarmów, praktykowane jest bezkarnie, ale tylko przez Niemców. Biada jednak właścicielowi lub dzierżawcy polskiego pochodzenia, by się w jego lasach lub polach żandarm pojawił i tam go zastał bez karty myśliwskiej. Jest to wyłączny sport tamtejszych landrathów, którzy w ten sposób bismarkowski program dalej do skutku wiodą. Nasyłają ustawicznie żandarmów na domy polskie podczas polowań, by nękać zaproszonych gości żądaniem kart myśliwskich, a tymczasem kłusownicy Niemcy, bezkarnie zwierzynę strzelają.

U nas, Bogu dzięki, tego rodzaju polityczne pobudki, jeszcze na teraz nie powinnyby mieć miejsca, więc i sprawa kart myśliwskich zupełnie nie była potrzebną. Wywołaliśmy ją sami na siebie, jako podatek nowy. Widać, że ich jeszcze niedość mamy! — Ale stało się. Nie ma już na to rady! Niedorzecznością byłoby jednak wierzyć, że ten nowy przepis powstrzyma kłusownictwo. Wszak kłusownik i bez karty dalej będzie niszczył zwierzynę, jak ją niszczył dotąd, a tylko porządnym ludziom nowe niepotrzebne koszta przybędą. Kto zna stosunki nasze, ani chwili wątpić nie będzie, że nigdy nasz żandarm nie znajdzie się w położeniu zapytać kłusownika o kartę myśliwską. Jeżeli kogo o nią zapyta, to z pewnością legalnego właściciela polowania podczas miotu, a ewentualnie nawet samego pana starostę, jeśli on jest myśliwym, ażeby dać dowód służbistości, ale kłusownika nigdy.

Ale jednem z najniedorzeczniejszych rozporządzeń ustawy jest z pewnością zakaz polowania w niedzielę i święta uroczyste. Samo to rozporządzenie już tak jest bałamutne, że wywołało dotąd niejedną polemikę, na którą odpowiedzi nie było.

Cóż bowiem znaczą uroczyste święta? Czy tylko rzymsko-katolickie, czy i grecko-katolickie i hebrejskie i mahometańskie? Tego ustawa nie wyjaśnia. Czyż i ten ustęp miałby być skierowany przeciw kłusownikom i tak zwanym Sonntagsjaegerom? Ależ on zupełnie swego celu chybia.

Mieszkając ciągle na wsi i mogąc w wolnych od zajęcia chwilach w ciągu całego tygodnia oddawać się myśliwskiej rozrywce, ściśle trzymałem się zawsze tradycyi niepolowania w niedziele i uroczyste święta mego obrządku; nie stałem więc nigdy w szeregu Sonntagsjaegerów. Pomimo tego nigdy za złe nie miałem tym wszystkim miłośnikom łowów, którym zatrudnienia inne przez tydzień cały wydalać się nie pozwalały od pracy, że w niedzielę dla wypoczynku, oddawali się tej swojej ulubionej rozrywce.

Czyż łowiectwo jest pracą, rzemiosłem, zarobkiem lub jaką inną przez kościół w niedzielę i święta uroczyste zakazaną czynnością? Czyż ono nie jest właśnie wypoczynkiem dla tego, który jest pracą zajęty przez tydzień cały? Czyż ono jest zdrożniejsze niż n. p. gra w karty, hulanki, pijatyki, tańce, sport bicyklowy, łyżwowy i tyle innych, których ani żadna ustawa, ani kościół nie zakazuje? Otóż w mojem przekonaniu, w tym kierunku nasza ustawa łowiecka okazała się nietylko niepraktyczną, ale wprost okrutną. Czyż się godzi taki liczny zastęp miłośników polowania pozbawiać tej przyjemności, uniemożliwiając im łowy w ten sposób. Urzędnicy pracujący w biurach, wojskowi przez cały tydzień zajęci służbą, jedną tylko niedzielę do wypoczynku mają, a jeśli są myśliwymi, ten dzień chętnieby tej rozrywce swojej ulubionej poświęcili, ale tej przyjemności ustawa im zabrania. W wielu okolicach zawiązały się towarzystwa myśliwskie, założone przez wytrawnych myśliwych, przestrzegających ściśle ustawę, ale ludzi pracy, którym tylko niedziele i święta do polowania pozostawały. Jak najliczniejsze stowarzyszenia takie w kraju byłyby pożądane dla podniesienia zwierzostanu. Wskutek rozporządzenia nowej ustawy, wiele takich stowarzyszeń rozwiązać się musi — na szkodę krajowego zwierzostanu.

O, bardzo w błędzie byli ci panowie, którzy tworzyli tę nową ustawę. Oby ją raz jeszcze oddać do przerobienia, ale w fachowe ręce, by z nich ten dziwoląg w innych wyszedł kształtach. Nie Sonntagsjaegery z pewnością szkodzą naszym kniejom i polom, lecz nasze własne niedbalstwo, brak czujności właścicieli łowieckich obszarów. Oto są powody, że się u nas zwierzostan nie podnosi się do takich rozmiarów, do jakichby się podnieść powinien, a najważniejszym jest wadliwość ustawy łowieckiej.

Leopold hr. Starzeński.

STARY DZIK.

(Ciąg dalszy).

Doktor założył mu bandaż i pan Piotr pojechał.

Po upływie godziny już był w domu.

Czuł się zupełnie dobrze. Ból w ramieniu był nic nieznaczącym, wiedział, że złamanie obojczyka, to drobnostka.

Tak, czuł się zupełnie dobrze. Tylko jakieś znużenie owładało jego ciałem. Chciał się położyć, wypocząć.

Napił się herbaty i położył się spać.

Zasnął prędko, ale trapiły go jakieś niedobre sny. Nie było w nich ani odrobiny sensu; przygniatały go jednak jakimś ciężarem, dusznością.

Wśród nocy zbudziła się stara klucznica Katarzyna. Przez ścianę usłyszała niby jęk, niby krzyk.

Jęk powtórzył się.

Katarzyna pobiegła czemprędzej do sypialni pana Piotra.

Pan Piotr siedział na łóżku, z podwiniętemi pod siebie nogami. Kołdra leżała na ziemi, poduszki były rozrzucone. Na twarzy jego malowała się zgroza, a wzrok miał utkwiony w przeciwległy kąt pokoju i szeptał cicho jakieś niezrozumiałe, bez związku słowa.

Bóg z panem i wszyscy jego święci — uspakajała go szeptem Katarzyna i żegnała krzyżem świętym, jakby chcąc od niego odpędzić moc czartowską.

Pan Piotr wpatrywał się ciągle w ciemny kąt pokoju.

Wydało mu się, że widzi polanę śnieżną, dokoła wysoki, ponury las, na śniegu widać było krwawą plamę, a obok niej przewrócony na wznak, z rozpostartemi rękoma, bez kropli krwi w twarzy leży chłopiec...

Katarzyna żegnała go nieustannie.

— Umarł, umarł! — powtarzał pan Piotr powoli i smutnie potrząsał głową.

* * *

Trzeciego dnia przyjechał lekarz odwiedzić Żurowskiego i zastał go w zupełnem zdrowiu. Spodziewał się tego. Pod tym względem młodzież jest doskonałą. Lekarz nie byłby nawet przyjechał, ale przejeżdżał obok i wstąpił.

— Byłeś pan w Leśnej? — zapytał książę.

— Byłem.

— I cóż pan Piotr?

Doktor zmarszczył brew.

— Źle. Książę nie wie? Nie pociągnie zdaje się długo.

— Cóż mu jest? — zapytał książę, w istocie zaniepokojony. — Czyż złamanie obojczyka rzeczywiście tak silnie na niego podziałało?

— Oh, nie, obojczyk to głupstwo. To znaczy i on wchodzi u niego w rachubę, ale istota rzeczy nie w nim się kryje. Ma zapalenie płuc.

— Tak? Ciężkie zapalenie?

— W jego latach zawsze ono bywa ciężkiem.

— Zaziębił się, czy co?

— Nie... Wstrząśnienie nerwowe było zanadto silne. Przecież z niedźwiedziem wziął się za bary.

— Ależ nie może być, aby umarł! — wmięszał się do rozmowy Żurowski, na którego wiadomość ta podziałała daleko silniej, niż sądzili doktor i książę.

— Hm... to jest tak, zapalenie płuc, to choroba, która kończy wszystkie rachunki u starych. Czemkolwiek by się zaczęło, to skoro się ono pojawi, zwykle następuje koniec.

— Ale przecież pan Piotr jeszcze nie taki stary — dorzucił książę — a wogóle jestto silny i czerstwy człowiek.

— Jednakowoż ma przeszło sześćdziesiąt lat!

— Tak, sześćdziesiątkę ma — potwierdził książę i zamyślił się.

— A wiesz pan co? — zwrócił się doktor do Żurowskiego. — Warto byłoby, abyś pan pojechał odwiedzić starego. Ucieszyłby się bardzo.

— Tak, tak — żywo podchwycił Żurowski.

— Wyobraża sobie, że pan jesteś chory i to go bardzo martwi. Starałem go się przekonać o czemś przeciwnem, ale obstaje przy swojem i sądzi, że Bóg wie, co się z panem dzieje.

— Stary troszczy się o mnie, obawia się o moje zdrowie, a ja? — pomyślał Żurowski.

— Bezwarunkowo pojadę, bezwarunkowo!

— Jedź pan, to go uspokoi.

— Bezwarunkowo. Zaraz dzisiaj.

— A mówiąc szczerze — dodał lekarz — przecież gdyby nie on, to z panem mogłoby być naprawdę źle.

— O, tak, tak — myślał Żurowski — natychmiast pojadę do niego, natychmiast! Że mi też to dotychczas nie przyszło na myśl! Jakże mogłem do tej pory nie podziękować mu za uratowanie mi życia! Jak to brzydko z mej strony. To nawet nieuczciwie!

— Tak, tak — rzekł książę — trzeba pojechać do niego. Pojechałbym razem z tobą, ale niestety dzisiaj nie mogę. Jutro pojedziemy razem.

— Wujaszku, to niemożliwe — wyrwało się Żurowskiemu — muszę pojechać dzisiaj natychmiast, muszę iść piechotą, jak nie można jechać.

— Ależ na co piechotą! Każ zaprządz sroczkę i jedź z Janem. Będzie ci wygodniej, jak piechotą.

Chłopiec był zachwycony. Sroczka była chyża, najszybszy koń ze stadniny księcia, do biednego starego zajedzie w lot.

Katarzyna przyjęła gościa z zadziwieniem. Tacy już oddawna u nich nie bywali, to też nie wiedziała, jak go zameldować.

— Powiedzcie, że siostrzeniec księcia,

— Wiem, wiem — mówiła stara, patrząc na niego z ciekawością — ale...

Niezdecydowana weszła do sypialni pana Piotra, który ku jej ogromnemu zdumieniu, widocznie ucieszył się z przybycia gościa.

— A więc jesteś pan zdrów? Zupełnie zdrów? — pytał z czułością.

— Zupełnie, zupełnie jestem zdrów — odparł Żurowski, podchodząc wzruszony do łóżka. — A cóż z panem zaczął i zamilkł nagle.

Wygląd pana Piotra przeraził go.

— A ja, jak pan widzisz, słabuję, coś ze mną nie tego — rzekł w odpowiedzi na jego zdziwienie.

— A cóż panu właściwie brakuje?

— Nic szczególnego, ot czas na mnie.

— Jakto czas?

Pan Piotr zamiast odpowiedzi, popatrzył na niego.

— Siadaj pan, niech się na pana popatrzę — rzekł. — Dobrze pan zrobiłeś, żeś sobie przypomniał o starym.

Żurowski siadł jakby zalękniony na krześle przy łóżku. Nie mógł ukryć zakłopotania, powstałego ze spojrzenia na pana Piotra i nie wiedział, co mu ma powiedzieć.

— A cóż, jestem teraz straszny? Czy wyglądam, jakbym tylko umiał bukiem okładać? — zapytał po chwili pan Piotr, uśmiechając się.

— O, panie Piotrze, żartujesz pan!

— No, dobrze, dobrze! Już nie będę! Więc pan jesteś zupełnie zdrów? I przez ten cały czas byłeś pan zdrów?

Chłopcu było przykro przyznać się do tego.

— Tak, przez ten cały czas byłem zdrów.

— Chwała Bogu, a mnie Bóg wie, co się wydawało.

— Nie wiedziałem, że pan jesteś chory, panie Piotrze, byłbym przyjechał wcześniej.

Pan Piotr spojrzał na niego łaskawie.

Zamilkli znowu. Żurowski znowu nie wiedział, co ma powiedzieć. Panu Piotrowi widocznie z trudnością przychodziło mówić.

— No, opowiedz mi pan coś — rzekł, odetchnąwszy.

— Cóż mam panu opowiedzieć?

O, jakżeż wiele było rzeczy, o których mógł mu opowiadać. Jak wiele było takich rzeczy, o którychby pan Piotr chciał od niego usłyszeć!

Widocznie wzruszony, pan Piotr podniósł się na poduszkach i wlepił w niego oczy.

— Powiedz mi pan — zaczął żywo i nagle zamyślił się.

Chłopiec czekał.

— A przypominasz pan sobie, jak zacząłeś pan mówić, że u mnie kozaczek wyskakuje na maszynce. Cóż to śmiesznego?... Wtedy tylko nie mogłem się połapać, w czem rzecz — rzekł pan Piotr i opuścił głowę na poduszki.

Żurowski zaczerwienił się, jak rak.

— To wtedy... panie Piotrze tak zgłupiałem..

— Nie, to powinno być zajmujące... opowiadaj pan...

Żurowskiemu było bardzo przykro, że wówczas pozwolił sobie na taki niewczesny żart.

— No, nie chcesz pan... Bóg z tobą... Pan mieszka u wuja?

— Tak, przyjechałem na święta Bożego Narodzenia.

— Pan po raz pierwszy u niego?

Żurowski zafrasował się.

— Tak, po raz pierwszy, bo aż do ostatnich dni wuj z moim ojcem jakoś nie bardzo się zgadzali.

— Tak, tak, wiem — przerwał mu żywo pan Piotr, jakby sobie coś nagle przypomniał i pragnął przerwać rozmowę.

— Wuj jest dla mnie bardzo dobry.

— I wesoło panu u niego czas upływa?

— O tak, u nas co dnia prawie są goście. Jeździmy, tańczymy... Na wsi zimą jest bardzo przyjemnie.

— A bawi także u niego i jego starsza córka?

— Tak, a umie ona urządzić tak, aby było wesoło.

— Tak, tak!

Pan Piotr widocznie zmęczył się i zamilkł.

Upłynęło dobrych pięć minut.

Pan Piotr zadumał się, widocznie coś sobie przypominał.

— Katarzyno — rzekł — podajno szkatułkę.

Katarzyna, która przez cały czas nie wychodziła z pokoju, popatrzyła na niego, widocznie nie zrozumiawszy rozkazu.

— Tę safianową — objaśnił pan Piotr.

Katarzyna podała wielką szkatułkę, starodawnej roboty.

Pan Piotr podniósł się na łóżku i otworzył ją. Wyjął z niej kilka drogocennych przedmiotów, widocznie pamiątek rodzinnych i nareszcie wydobył artystycznej roboty medalion.

— Zabieraj to — rzekł.

Katarzyna zabrała wszystko i wyniosła szkatułkę.

Pan Piotr otworzył medalion, popatrzył na niego w zadumie i podał wreszcie Żurowskiemu.

— Przez cały ten czas myślałem o tem, aby po mojej śmierci medalion ten wręczono panu. Namyśliłem się jednak inaczej. Weź go pan zaraz...

— To mama? — zapytał Żurowski, spojrzawszy na znajdujący się w medalionie portret.

— Tak, to ona, tylko wtedy była bardzo, bardzo młoda. Wtedy jeszcze nie znała pańskiego ojca.

— O, panie Piotrze!

— Weź pan... To najlepszy podarunek, jaki mogłem panu zrobić. Patrząc na niego, może pan sobie kiedyś mnie przypomniesz. Pragnę, abyś pan czasami i o mnie sobie przypomniał. Gdyśmy byli młodzi, byliśmy przyjaciółmi z pańską matką i dlatego przypomnij pan sobie czasem starego.

— Panie Piotrze — powtórzył znowu Żurowski.

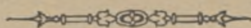
— Tak, chciałem go jeszcze zostawić przy sobie, ale wszystko jedno, już mi nie długo, bierz pan zaraz.

— Panie Piotrze, pocóż pan tak mówisz?

— Co takiego, mój drogi?

— Bóg da, jeszcze pan przyjdzie do siebie.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Próbować wszystko, a najlepsze zatrzymać.

Artykuł p. Wł. Spausty „Zagraniczni goście“ wzbudził we mnie te same refleksye, które wyraził p. S w artykule „Sprowadzanie żywych kuropatw i zajęcy“.

Nie mam zamiaru analizować przekonań wypowiedzianych przez p. Spaustę w jego cennej rozprawie, gdyż hołduję zasadzie, że praktyka jest matką teoryi, a tem więcej, gdy prawa i zjawiska w tej cudownej maszynie, która się przyrodą zwie, tak często nie zgadzają się z kombinacyami ludzkim rozumem wytworzonemi.

Gdybyśmy chcieli postępować tylko drogą polemiki

teoretycznej, to z pewnością na tej drodze nie znaleźlibyśmy istotnie konkretnych wskazówek, jakimi sposobami do zamierzonego dojść celu.

W rozprawce moje w Nrze 1. „Łowca“ p. t. „To i owo“, wspomniałem, że znam majątek, w którym kuropatwy doszczętnie wyginęły (z pomocą człowieka), i w którym przez sprowadzane kuropatwy z Czech, uzyskano świetne rezultaty, bo z około 60 parek po latach 3 dochowano się około 400 sztuk, t. j. stworzono dostateczną podstawę do dalszej hodowli.

Ponieważ szan. autor artykułu „Zagraniczni goście“ („Sylwan“ za marzec) — wypowiada między innemi zdanie w formie apodyktycznej „gdzie kuropatw nie ma, tam można przystąpić do sztucznej rozmnoży, jednak nigdy w drodze importu kuropatw, lecz jedynie za pomocą wylęgiwania jaj przez indyczki lub kury“ — przypuszczam, że nad faktem przezemnie podanym przeszedł nasz autor do porządku dziennego dlatego, że: albo podała go osobistość nieznana, albo że w autentyczność faktu tego nie wierzy.

Że pierwszy wypadek dla samej sprawy jest obojętnym, przyjmuję drugi, a ten już ani dla sprawy, ani dla autora obojętnym nie jest, więc zmusza mnie do wyjaśnienia. Spodziewam się, że nie zrobię przykrości p. Antoniemu Skrzyńskiemu, wyjawiając, że omówione dodatnie rezultaty osięgnął on właśnie w swym majątku Żurawno (powiat Żydaczów) i proszę go na tem miejscu o podanie przebiegu całej akcyi.

Do jak sprzecznych twierdzeń dojść można, opierając się na małej ilości doświadczeń, niechaj posłuży na dowód tego fakt następujący: Ponieważ po wypuszczeniu parek czuwaliśmy bacznie nad ich losem, wiedziało się przeto nieomal o każdem gnieździe. Nawiasowo zauważę, że ilość jaj składanych wahała się między 14 a 22, a wypuszczone kuropatwy z początkiem marca zanosiły się w normalnej porze. Przy kontrolowaniu gniazd znaleziono dwa pozbawione matek — jaja te: 16 i 22 podłożono pod kurki karzełki i doczekano się wylęgnięcia wszystkich. Niestety mimo pielęgnowania i żywienia — jak nam się zdawało racyonalnego, wyginęło to maleństwo w przeciągu 2 tygodni. Mimo tego ujemnego rezultatu nie odważyłbym się twierdzić, że wylęgiwanie jaj zawodzi, a przyczynę wyginięcia kuropatw w tym wypadku upatruję w nieznajomości postępowania.

Obecnemu stanowi sprawy całej odpowiada, według mojego przekonania, najlepiej w tytule zacytowane przysłowie. Poznajmy więc najpierw te okoliczności, te sposoby postępowania co do hodowli kuropatw, lecz nie na drodze polemiki teoretycznej, ale na drodze sumiennych doświadczeń; niechaj każdy dołoży do doświadczenia tego chociaż małą cząstkę tylko, a powstanie światło, przy pomocy którego właściwą drogę już się znajdzie.

Na razie chodzi o rozstrzygnięcie kwestyi, czy korzystniej będzie sprowadzać kuropatwy czy jaja, odnośnie do pierwszej: zkąd i w jakiej porze; godzimy się zaś wszyscy na to, że zanim kuropatwę się wprowadzi, trzeba przetrzebić jej nieprzyjaciół, następnie powstający stan pielęgnować i chronić. Każde z tych zadań wymaga pewnych wiadomości i gdyby nasi myśliwi zechcieli omówić stosownie do własnych doświadczeń pojedyncze działy, ogół niezmiernie wiele z tegoby skorzystał. Oprócz zasadniczej kwestyi stworzenia podstawy do hodowli kuropatw, opracowaćby należało n. p. tematy: o organizacyi straży łowieckiej, o zakładaniu remiz, o sposobach tępienia drapeżników, o hodowli kuropatw,*) w szczególności o żywieniu, o ochronie, sposobach łapania na zimę i przezimowywaniu, wreszcie o racyonalnem t. j. nie dewastacyjnem polowaniu na nie.

Alex. R. Reichard.

---

*) Życzeniu autora stało się zadość, przez pomieszczenie w łamach *Łowca* szeregu wybornych artykułów o tej sprawie p J. Lewickiego. Przyp. Redakcyi.



OBRAZKI Z ŻYCIA MYŚLIWEGO.

przez A. hr. Sumińskiego.

(Ciąg dalszy).

7.
Na dzika.

Małym jeszcze byłem chłopcem, gdy raz siedzieliśmy przy obiedzie, a zameldowano leśniczego, że ma nader pilny interes do ś. p. ojca mego. Za chwilę wszedł, a oczy mu się śmiały, gdy raportował, że jest dzik, który położył się w szuwarach nad jeziorem, gdzie otropiony leży. Była to mniej więcej połowa lata. Natychmiast obiad przerwano i poczęły się ogromne przygotowania. Trzeba wiedzieć, że była to okolica płaska, lasów mało, a dzików od niepamiętnych czasów nie bywało. Był to po prostu zbieg, który się zabłąkał w te strony. To też nic dziwnego, że prócz mego ojca, inni uczestnicy, a więc ksiądz, rządca, gorzelany, mój nauczyciel domowy wyruszyli ze śrutami, jak na zajączka. To jednakże pamiętam doskonale, że kiedy przeznaczono dwóch z tych panów na drugi brzeg jeziora, w razie, gdyby dzik miał przepłynąć, obstalowali sobie chłopów z widłami. Ja siedziałem na kucyku i miałem obowiązek szczuć chartami dzika, gdyby miał ujść. Dyspozycye zostały rozdane, każdy zajął swój posterunek i wpuszczono wyżły do szuwarów. Za chwilę rozległo się ujadanie i wrzawa, a ja ujrzałem ogromnego, czarno-burego zwierza, płynącego wprost na drugą stronę, przez środek jeziora. Salwy śrutowe szły jak ogień rotowy z dwóch stron do niego, co mu zupełnie na razie było obojętnem. Zdawał się on w tej wodzie ogromem, tak wiele ciała miał nad wodą, a jak się pokazało, był to trzylatek, wycinek. Płynął wprost na drugą stronę, a ja w cichości serca, pragnąłem gorąco, żeby uszedł i na ląd stały się jako wydostał, aby go poszczuć chartami. Tymczasem ojciec na przygotowanym koniu, objechał cwałem jezioro i tam przywitał dzika dwiema kulami ze sztućca, które obie znaleziono we

w ustawie ściślejszy, niż dotychczas ład i porządek w stosunkach posiadania, wykonywania i dzierżawy polowania.

Ważną w tym kierunku czynnością będzie odpowiednie ustanowienie okręgów polowania, a ścisłe w tej mierze postępowanie po myśli §§. 6. — 9. ustawy, względnie wydanie jasnych i dokładnych zarządzeń, ewentualnie orzeczeń co do obszaru i granic okręgów tak samodzielnego, jakoteż gminnego polowania, przyczyni się w znacznej części do uchylenia wątpliwości i sporów, jakie w tym względzie istniały dotychczas.

W kwestyi wynagradzania uszkodzeń, wyrządzanych przez polowanie lub zwierzynę, a to tak co do obowiązku odszkodowania, jakoteż co do postępowania w wypadkach tego rodzaju, zawiera ustawa łowiecka w rozdziale III., w §§. 51 — 66, rozporządzenie zaś wykonawcze w artykułach V. i VI. szczegółowe przepisy.

Ponieważ z różnych stron kraju nadchodzą coraz liczniejsze skargi i zażalenia na szkody wyrządzane w ziemiopłodach przez zwierzynę, a szczególnie przez dziki, poleca się panu c. k. Staroście czuwać nad tem, aby odnośne sprawy w tamtejszem starostwie załatwiane były jak najrychlej, z wszelką bezstronnością i stanowczością, ściśle po myśli powołanych przepisów ustawy łowieckiej i rozporządzenia wykonawczego.

Szeroki zakres działania, jaki zakreśla ustawa łowiecka władzom administracyjnym, wymagać będzie w niejednym kierunku współdziałania znawców.

Już przy sposobności dochodzeń względem ustanowienia okręgów polowania w myśl §§. 6 — 9 ustawy, zasięgnięcie zdania znawców, może okazać się potrzebnem; zaś §. 35. ustawy, odnoszący się do wyjątkowych zarządzeń w kwestyi ochrony zwierzyny łownej, wymienia wypadki, w których władza zasięgnąć winna zdania krajowego Towarzystwa myśliwskiego.

Podobnie zajść mogą wypadki, iż w kwestyach, odnoszących się do wykonywania policyi łowieckiej, wypadnie władzy, oprzeć się na zdaniu znawców.

Wreszcie współudział znawców w toku postępowania co do wynagrodzenia szkód wyrządzonych przez polowanie lub zwierzynę unormowany jest szczegółowo w §§. 58 — 65 ustawy i artykułach V. i VI. rozporządzenia wykonawczego.

Wyszukanie więc w tamtejszym powiecie i ustanowienie odpowiednich osobistości, jako znawców w dziedzinie łowiectwa będzie ważnem zadaniem pana c. k. Starosty.

W tym względzie zaznacza c. k. Namiestnictwo, że od lat wielu istnieje we Lwowie gal. Tow. łowieckie, które zreorganizowawszy się w ostatnich czasach, rozszerzyło zakres swej działalności na kraj cały i w tym celu ustanowiło we wszystkich niemal okolicach kraju delegatów z pomiędzy najpoważniejszych członków Towarzystwa.

Delegaci ci, jako ludzie obeznani wszechstronnie z łowiectwem i praktyczni myśliwi, niewątpliwie najlepiej nadawać się będą do udzielania fachowych wyjaśnień i informacyi w razach wątpliwych, jakoteż do pełnienia funkcyi znawców przy dochodzeniach urzędowych.

Poleca się więc panu c. k. Staroście, aby w wypadkach, wzmiankowanych w §. 35 ustawy łowieckiej, zasięgał zdania Galicyjskiego Towarzystwa łowieckiego we Lwowie, dalej, aby jako znawców powołanych do udzielania wyjaśnień i informacyi fachowych w dziedzinie łowiectwa, tudzież do spółudziału w dochodzeniach i rozprawach ustawą łowiecką wskazanych, ustanawiał w pierwszym rzędzie delegatów pomienionego Towarzystwa, o ile w tej mierze w poszczególnych wypadkach nie zajdą przeszkody pod względem warunków osobistej kwalifikacyi, określonych w art. V. ustęp 1. rozporządzenia wykonawczego do ustawy łowieckiej.

Na koniec zwracając uwagę pana c. k. Starosty na postanowienia rozdziału VI. §§. 80 do 86 ustawy łowieckiej z art. VII. rozporządzenia wykonawczego co do kart i certyfikatów myśliwskich, poleca się panu staroście, aby pod względem manipulacyi i składania rachunków z obrotu tych kart i certyfikatów, zastosował się do wskazówek Wydziału krajowego, który w najbliższym czasie rozeszle odnośne blankiety w odpowiednej liczble egzemplarzy i wyda stosowne w tej mierze zarządzenia.

Lwów, 25. maja 1898 r.

Za c. k. Namiestnika:

Lidl.

KRONIKA.

Hołd łowców złożony cesarzowi. Jak już donieśliśmy, dnia 25. czerwca br. łowcy ze wszystkich krain Austryi zebrali się w Wiedniu, aby złożyć hołd najwyższemu z łowców, wielkiemu miłośnikowi myśliwstwa, cesarzowi Franciszkowi Józefowi I. Przybyło tego dnia przeszło 4000 łowców do Schönbrunu, aby monarsze złożyć wyrazy miłości, wierności i przywiązania. O godz. 9-tej uczestnicy zebrania, zajęli wskazane im przez komitet miejsca, gdzie grupy podzielone na kraje, stały każda pod przewodnictwem prezesa komitetu krajowego. Na czele grupy z Galicyi stali prezes gal. Towarzystwa łowieckiego, Roman hr. Potocki i wiceprezes p. ordynat Tadeusz Czarkowski-Golejewski, a wśród grupy łowców znajdował się między innymi hr. Aleksander Bielski, hr. Korytowski, ks. Andrzej Lubomirski, Adolf br. Brunicki, Antoni hr. Wodzicki i wielu innych. — Wszyscy w strojach myśliwskich, z przewieszonemi strzelbami i torbami przez ramię, z kordelasami u boku. O godz. 11., gdy najwyższy łowczy cesarski, br. Leon Gudenus złożył cesarzowi raport, że zebrali się łowcy z Austryi, aby Mu złożyć hołd, wyszedł cesarz w towarzystwie prezesa komitetu ściślejszego ks. Auersperga, br. Gudenusa, jeneralnego adjutanta hr. Paara i adjutantów służbowych na terasę ogrodową. Z piersi zebranych wzniósł się okrzyk entuzyastyczny na cześć monarchy, równocześnie zabrzmiała fanfara na rogach.

Cesarz był tą owacyą bardzo wzruszony. Imieniem zebranych przemówił do monarchy arcyksiążę Franciszek Ferdynand i wręczył monarsze złotą dębową gałązkę. Gdy arcyksiążę skończył, zabrzmiały znów okrzyki, zagrano fanfarę, a zebrani powiewając kapeluszami, witali monarchę.

Cesarz serdecznie podziękował za zgotowaną mu owacyę i dar honorowy i podniósł, iż zawsze mile wspomina o tych godzinach, kiedy po trudach pracy, szukał rozrywki, wzmocnienia, pokrzepienia się i radości wśród borów, w kniei, polując na zwierza.

Gdy cesarz przemawiał panowała cisza, wszyscy z zapartym oddechem słuchali Jego słów. Gdy skończył, znów odezwały się okrzyki i zabrzmiała fanfara. Następnie przychodził cesarz od jednej grupy krajowej do drugiej i rozmawiał z członkami deputacyj.

Gromkim okrzykiem pożegnano monarchę, gdy opuścił terasę, udając się do zamku.

Treść: Drugi zjazd łowiecki. — Żóraw. — Kilka uwag o nowej ustawie łowieckiej. — Stary dzik. — Próbować wszystko, a najlepsze zatrzymać. — Obrazki z życia myśliwego. — Korespondencye. — Sprawy Towarzystwa. — Kronika. — Ogłoszenia.

Wydawnictwo gal. Tow. łowieckiego. Redakcya „Łowca“: Lwów, pl. Chorążczyzny 1. Redaktor odpowiedzialny: **Edmund Kolbuszowski.**
Z drukarni „Dziennika Polskiego“ Dra Feliksa Woynarowskiego we Lwowie, ul. Sobieskiego 16. — pod zarządem Fr. Kattnera.